



**"Biorę co chcę, daję co mam."**

### **Druga Pasja. Sztuki walki. Dzięki której dowiedziałem się jak ćwiczyć we śnie.**

Wszystko zaczęło się oczywiście od Bruce Lee, jego filmów i stylu który stworzył: Jeet Kune Do. Pamiętam jak za każdym razem gdy wychodziliśmy z kina po którymś filmie z Bruceem, wszyscy wtedy byli Bruceem Lee, cała wiara wysypująca się z kina. Każdy zaczepiając drugiego machał łapkami, kopał nogami i piszczął jak kurczak, ha ha ha. Mnie to zainteresowało na tyle że udałem się do najbliższego klubu karate i podjąłem naukę. Nie było to kung-fu a jedynie Karate, o czym napiszę za chwilę, na razie jeszcze kilka słów o Bruce.

Najbardziej podobały mi się jego podejście, główne ramy, założenia i np. jedna z nich "Sztuka walki bez walki". Co pokazał w jednym ze swoich filmów, jak również sama nazwa stylu, który stworzył: Sztuka/Droga Przechwytywającej Pięści. To było coś dla mnie, była to i ciągle jest do tej pory meta dziedziną jeśli chodzi o sztuki walki. Łącząca wszystko, biorąca z różnych stylów to co jest praktyczne, działające bez zbędnych ruchów, zbędnego tracenia energii. Właśnie to mnie ukształtowało i zdeterminowało kierunek tego czego oczekiwałem i chciałem się nauczyć studiując tę sztukę. Maksymalna elastyczność i wprost niewyobrazalna szybkość pozwalały pokonać mu najmocniejszych mistrzów ich własną bronią, bo kolejną umiejętnością była szybka adaptacja indywidualnych strategii przeciwnika których uczył się na bieżąco podczas walki. Jedno pytanie może się nasunąć, dlaczego był Mistrzem? Uważam, że nie ma czegoś takiego jak talent czy predyspozycje. Ludzie się z tym nie rodzą, dobrym przekonaniem jest że wszystko jest umiejętnością i wszystkiego się możesz nauczyć. To tylko kwestia czasu jaki poświęcisz na naukę, ilości i jakości energii jaką w nią włożysz. Bruce dlatego był Mistrzem, bo to było jego pasją, on był tym stylem, żył tym nie od 8-16 w biurze, ale przez 24h na dobę, jak spał to jego nieświadomy umysł pracował nad nowymi technikami lub ulepszeniami już istniejących. Jak się budził to przerabiał gotowe rozwiązania, które podsuwał mu umysł. Robił wiele rzeczy na raz i żył bardzo intensywnie. Był przy tym bardzo miłym i uczynnym facetem. Dzięki Ci Bruce.

Jak już wiesz były to sztuki walki zlecone mi jako rekonwalescencja szybszego powrotu do zdrowia. Zacząłem jak chyba większość adeptów w naszym kraju od Karate i pierwsze było Kyokushinkai {tak to się pisało?}. Dzięki temu że byłem wybiegany w piłce, miałem kondycję, byłem wytrzymały zarówno zmęczeniowo jak i odporny na ból, setki kopnięć, podcięć, łokci i poskręcanych stawów odpowiednio ustawiło moje strategie dotyczące poświęcania choćby grama czasu na myślenie o bólu. Tak nie miałem na to czasu, grało się dalej. I tu było pierwsze spięcie z trenerem, nie mógł mnie złamać jak innych miękkich chłopców, którzy przyszli na karate a on sie na nich wyżywał. Pamiętam pierwszy trening, jak zanim weszliśmy to przyjeźliśmy parę legend o tym jakoby trener utwardzał zawodników kopniakami z wyskoku w splot słoneczny - niektórzy podobno tracili przytomność. Na szczęście ani przy mnie ani mnie nic takiego się nie zdarzyło. Było ostro i twardo, mi pasowało. Ilość siniaków, zadrapań czy zwichnięć się nie zmieniła, ha ha ha, byłem zadowolony. Pochodziłem jakiś czas aż zdjęli nam tę sekcję.

Potem skok na Karatę Oyama i tutaj śmiech na sali. Trener był typowym że to mogę tak nazwać pracownikiem biurowym, wyglądał jak nieogarnięty księgowy, ćwiczył w grubych brylach i wyglądał jak worek wody. Ni kształtu kondycji czy szybkości, tylko przychodził na trening, udawał wielkiego guru, mówił asystentom co mają danego dnia robić i sam siadał i "mediatował", bo medytacją tego nazwać nie mogę, obraziłbym wszystkich czyniących tę szlachetną praktykę. A mistrz który stworzył ten nurt przekreślił by się w grobie (obecnie, bo niedawno zmarł). Byłem tam kilka razy, po tym jak sprąłem paru jego adeptów z wyższymi pasami, przestałem tam chodzić, bo po co uczyć się od kogoś kto uczy czegoś czego sam nie umie. A tak, przypominam sobie uczył ludzi a nie miał jeszcze czarnego pasa, ciekawe czy w końcu zdał czy kupił go sobie na stadionie ha ha ha. Kolejną odmianą było Karate Tsunami - dużo fajnych jak mi się wtedy wydawało form, trochę sparringów, krótko mówiąc, był lajck i dobrze się bawiłem, to pierwsza sekcja na którą uczęszczałem do Warszawy, mieszkając jeszcze w Legionowie. Nie pamiętam ile czasu tam chodziłem, bo od początku miałem takie podejście, pójść, poćwiczyć co Trener kazał, zobaczyć jak to robi, uczyć się bezpośrednio od niego nie tylko samych technik ale i tego kim jest i szukać dalej.

W tzw. między czasie wpadłem również na chwil parę, czyt. parę miesięcy na Viet-Wo-Dao {tak to się pisało?} i tam było podobnie jak na pierwszej mojej sekcji karate. Twarda szkoła, mocna, wytrzymałościowo-siłowa, sto pompeczek to był pikuś, robiliśmy po kilkaset bez ustanku. Było to niesamowite uczucie, gdy trener liczył po kolei od jednego do dziesięciu i jak w transie słuchało się tylko jego głosu, nic poza nim nie istniało. Jego słowa brzmiały w głowie a człowiek słyszał jeszcze szum przepływającej krwi w żyłach i rytm, powtarzający się dziesiątkami dziesiątek. Pot kapał i ściekał po całym ciele, zarówno ręce jak i stopy zaczynały się ślizgać i trzeba było dodatkowo usztywniać się by się nie rozjechać na tej kałuży potu która była na macie. Niesamowitą satysfakcją było gdy inni po kolei padali, niektórzy po paru, inni po paru dziesięciu, tylko kilku utrzymywało się po setce. A

trener był nieugięty, chciał złamać wszystkich. Potem zostaliśmy tylko my, ja i on, równo pompowaliśmy do zmęczenia, kto padnie pierwszy. Nie udało mu się. Przerwał podszedł do mnie uściśnął mi rękę i poczułem się tak jak ... och! bossko! Tak to dla mnie wiele znaczyło, jego uznanie, respekt Trenera dla ucznia. Traktowanie jak człowieka, jak równego sobie. To Było cudowne, pamiętam jak by to było dziś. Cudowny przykład szacunku dla poświęcenia. Podobało mi się jego podejście, nigdy nie doceniał przeciwnika i był otwarty na nowości takie jakiej miał możliwość doświadczyć na swoim treningu z moim udziałem. Sam mi o tym powiedział, że jeszcze nigdy nikt mu w pompkach nie dorównał.

Kolejne dwa style to Taekwondo i Aikido, piszę o nich jednocześnie bo wprost wsiąknęłam w nie na dłużej i wymieniałam się nimi, studiowałam je jednocześnie i z przerwami oba mieszając je nieustannie. Przerwami czyli przestawałam uczęszczać na zajęcia, za to trenowałam więcej sam. Można powiedzieć że idea Bruce'a była mi najbliższą. To czego się gdziekolwiek uczyłem potem przerabiałem po swojemu i wprowadzałem do swojego własnego stylu. Dzięki temu mało było osób na treningach, które mogły mi dać radę. Nie istotne dla mnie kompletnie były nadawane stopnie mistrzowskie za jakieś formy na macie i "twarde" zasady danego stylu, ja chciałem być skuteczny i skutecznie się obronić przed jak największą ilością różnej maści odmian sztuk walki. Znajdowałem w technikach dziury i miejsca gdzie mogę włożyć swoją rękę lub nogę by coś zablokować, uderzyć czy kopnąć szybciej z wyprzedzeniem, albo zejść z linii ciosu jak to jest w aikido i wykorzystać energię przeciwnika, by się za bardzo nie zmęczyć ha ha ha, ach ile kałuż niektórzy zaliczyli. Ja tego nigdy nie nazywałem walką, z tej strony na to patrząc można powiedzieć, że nigdy się nie biłem. Nigdy nikogo nie zaczepiałem, nie atakowałem ani nie prowokowałem do bójki, walki czy przepychanki. Zawsze neutralizowałem ewentualne zagrożenie, nieraz zanim zdążyło się pojawić, a czasem jak ledwo co zdążyło. Nigdy nikt nie chciał kontynuować dalej, jakoś byłem spójnie przekonujący, a z wyglądu taaki niepozorny. Bo powiem Ci jedną prawdę, którą nabyłem przez tyle lat zmagania z samym sobą: Wojownikiem się jest najpierw w swojej głowie, a dopiero potem na zewnątrz. To jest Twoje silne przekonanie, które wbudowujesz na poziomie swojej tożsamości, dobudowujesz ją do siebie jako rozszerzenie Ciebie samego. Tutaj dodatkowy wpływ mieli na mnie Steven Segal [aikido], Musashi Miyamoto [sztuka miecza] i Lorenzo Lamas [hapkido] jak i cykl powieści o żołnierzach przyszłości „Dorsai'ach” Gordona Dicksona [przekonania wojowników]. W tak zwanym między czasie zacząłem się również bawić nunchaku, niestety nie znalazłem żadnego Mistrza w tej dziedzinie w naszym kraju. Pozostawało mi podglądać to na filmach w telewizji, instruktażowych na video i z dostępnych książek i obijać sobie łokcie, głowę i inne części ciała podczas ćwiczeń.

Przypomniała mi się jedna historia, którą tutaj przytoczę a jest ona o dwóch japońskich wojownikach w przeddzień pojedynku. Jeden był samurajem, drugi również nim był, kiedyś, a obecnie był roninem, czyli samurajem którego opuścił jego pan. Gdy spotkali się na polu dnia następnego i stanęli naprzeciw siebie, ten który wyzwał ronina na pojedynek, odstąpił po tym jak spojrział w jego oczy i zobaczył że tamten nie ma nic do stracenia. Nawet jego życie się nie liczyło, wolał umrzeć niż tak żyć dalej. Tego samuraj nie mógł zwyciężyć. Dlatego odstąpił od Walki.

I to właśnie wiedzie nas w tej mojej opowieści do dziedziny, która pojawiła się niepostrzeżenie wraz z aikido. A dokładnie chodzi tu o iaido. Tak, Sztuka Miecza. Jest to umiejętność dobywania broni z jednoczesnym oddaniem jednego lub więcej ciosów z przemieszczaniem ciała i po zażegnaniu niebezpieczeństwa szybkim strząśnięciu krwi z klingi, płynnym schowaniem go i pójściem w kierunku, w którym podążaliśmy zanim nie zostaliśmy napadnięci. Dlaczego tak to opisałem, możesz się zastanawiać. Czytając dalej dowiesz się, jaki był mój cel.

Otóż wracając z drugiego już treningu byłem troszkę zmęczony i to było chyba kluczowe. Najpierw byłem na Taekwondo, a potem na aikido i iaido [te dwa w ramach jednego treningu, w dwóch blokach programowych]. Po drodze do domu miałem wstąpić jeszcze po coś do rodziny mieszkającej na Pradze, tak tej części Pragi gdzie podobno nie było bezpiecznie, o czym sam się przekonałem, ale o tym za moment. Na zewnątrz była już szarówka, a ja niezbyt szybko idący w płaszczu z plecakiem na plecach szedłem sobie uliczkami i mijałem co chwila mroczne bramy, w których nawet jak by się ktoś czał to i tak bym go nie zobaczył. Zmysły miałem jakieś przytępione, chyba przez to zmęczenie, bo nie usłyszałem gdy mijając którąś bramę z kolei gdy wyskoczył na mnie od tyłu jeden kark z bejzbolem i walnął mnie przez plecy, a uderzenie było tak silne że powaliło mnie na jedno kolano.

Musiałem się im nie spodobać, ja długie włosy spięte gumką i zaplecione w warkocz, czarny płaszcz, spodnie policyjne bojówki, długie wojskowe buty, cóż standardowy metal, oni łysi w dresach zwykłe abs'y [absolutnie bez szyi]. Na szczęście nie uderzył mnie w głowę, bo bym pewnie został tam z rozwaloną czachą, a tak płaszcz plecak i coś jeszcze, o czym za chwilę, zamortyzowały uderzenie tak, że nie złamał mi nawet żebra, za to co innego zrobiło mi pamiątkę. Gdy ja się zbierałem by się podnieść, w mgnieniu oka jak tylko karki potrafią wyskoczyło z bramy jeszcze pięciu łysych kolesi i stanęli dookoła i coś gadali. Nie słyszałem ich co mówili nawet na nich nie patrzyłem, górę wziął instykt, adrenalina poszła do góry i ocknąłem się jak za przełączeniem guzika. To był ułamek sekundy, czas prawie się zatrzymał, a ja widziałem wszystkich dookoła i już wiedziałem co zrobić każdemu by go rozwalić i na pewno nie był to czas na zastanawianie się nad konsekwencjami ha ha ha.

Podnosząc się odchyliłem płaszcz z prawej strony i jednym zamaszystym ruchem wyjąłem miecz i ... to wystarczyło. Kompletnie się tego łysielce nie spodziewali że jeden się postawi, że wyjmie coś takiego. Stan chłopaczków został załamany sromotnie. Podnosząc ostrze, a nie był to wielki miecz, mam go do dzisiaj, to treningowy ninja-ken, nawet nie jest naostrzony, lecz oni o tym nie wiedzieli, krzyknąłem do nich: 'No co Kurwa!! Zatańczymy??' ... i tyle ich widziałem. Chłopaki musieli się chyba potężnie panoramicznie zasocjować z moim

mieczem, każdy z osobna w tej samej chwili i jak teraz o tym myślę ciekawia mnie ich obrazy, które sobie wkręcili, ha ha ha. Mechanizm fobii jest taki, że instaluje się bardzo szybko, jednorazowo i działa bardzo dobrze.

Widziałem ich jeszcze raz. Kilka dni później znowu miałem odwiedzić rodzinę gdy wracałem z treningu i wyszedłem z za rogu i oni byli przy trzeciej bramie ode mnie. Jak tylko mnie zobaczyli, cóż nie mieli przy sobie atrybutów do przekonywania ludzi by szybciej rozstawali się ze swoimi portfelami, zrobili to co mogli, pospiesznie przeszli na drugą stronę ulicy i stamtąd patrzyli za mną jak sobie spokojnie idę z ironicznym uśmiechem na twarzy. A to co zostało to rana po wbitym w bok rogu tsuby od miecza której nawet nie poczułem, bo przecież miałem co innego na głowie. Dopiero poczułem jak się rozbierałem w domu do mycia, to wydłubałem stamtąd zaschniętą krew, przemyłem i opatrzyłem jak trzeba. Nikt się o tym nie dowiedział. Wtedy jeszcze byłem pod nadzorem i by mi pewnie zakazano uczęszczać na te zajęcia. A to właśnie dzięki nim wyszedłem z opresji bez uszczerbku na zdrowiu.

Nie mogę zapomnieć o moich dwóch kumplach u których się uczyłem, więc jeśli to będziecie czytali to pozdrawiam Cię Marcin i Ciebie Wojtku. Niestety kontakt do Was urwał mi się, każdy z nas poszedł swoimi drogami. Wiem że nasze drogi się jeszcze skrzyżują i jeśli miecze również, to tylko w przyjacielskim sparringu. HA HA HA !! !! !!

Inne artykuły znajdziesz na stronie <http://www.jarekbogacki.com> w dziale **O mnie**. Zapraszam do lektury.